Nr. 1. 1891 r. **Ogólnego Wydawnictwa Rok XIV.**

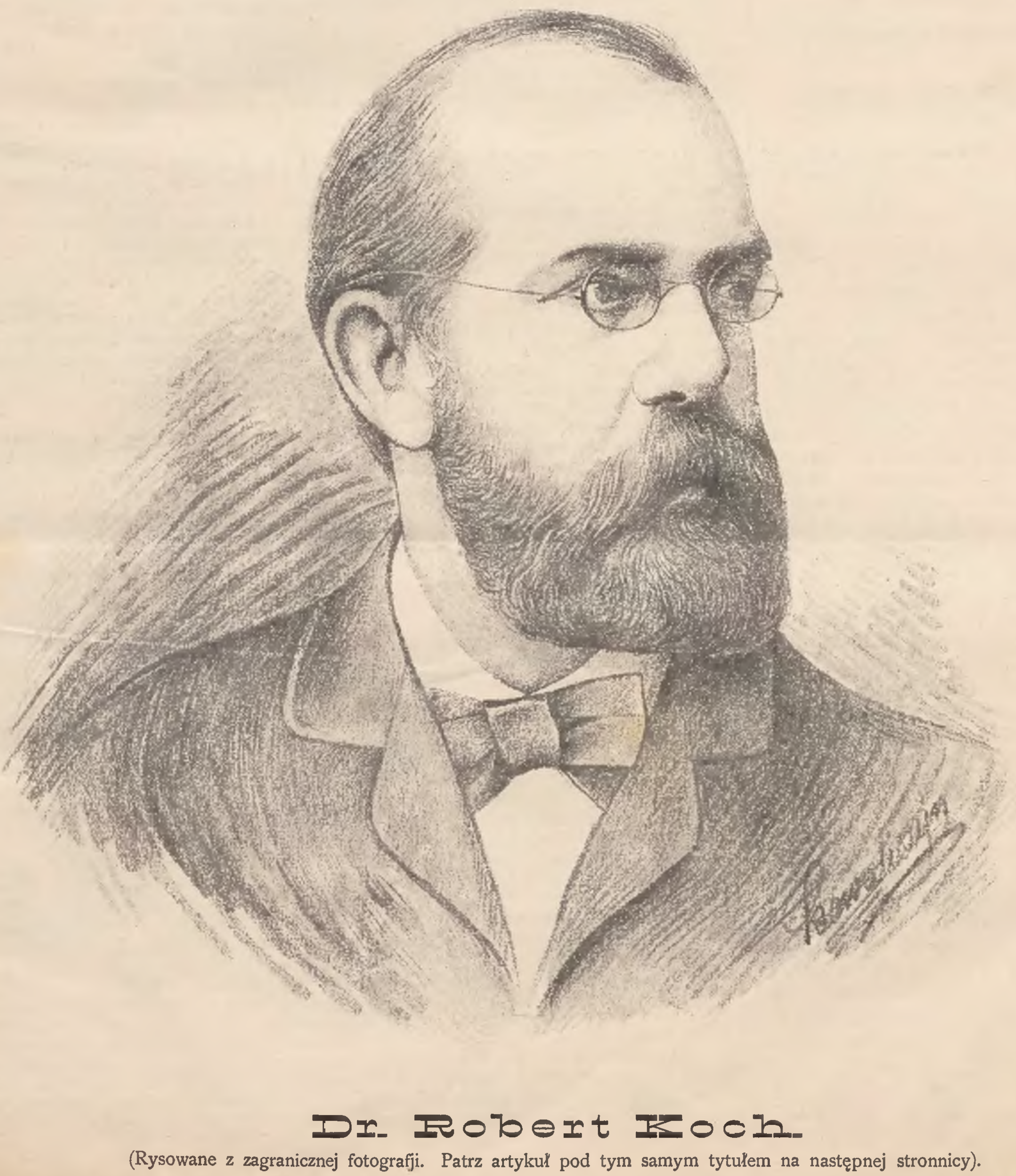
GONIEC i ISKRA

Dziennik dla wszystkich, illustrowany.

Lwów, dnia 1. Stycznia 1891 r.

Goniec i **Iskra** wychodzi trzy razy na miesiąc: 1, 10. i 20. każdego miesiąca. Nadto, prenumeratorowie **Gońca i Iskry** otrzymują dodatki *bezpłatne* najczęściej *illustrowane* wychodzące nieperjodycznie w każdym miesiącu, oraz osobne *bezpłatne premia illustrowane.* Prenumerata na **Gońca i Iskrę** wynosi tak w miejscu, jak i na prowincji kwartalnie 2 złr., półrocznie 4 złr., rocznie 8 złr. W poznańskiem i w Niemczech 16 marek rocznie, we Francji i innych krajach, oraz w Ameryce północnej 20 franków (4 dolary); rocznie w Ameryce południowej, w Brazylji, Australji i innych krajach zaoceanowych 25 franków — stosunkowo na kwartał i pół roku. Za ogłoszenia opłaca się 8 ct. za wiersz drobnem pismem, lub za jego miejsce. Nadesłane po 20 ct. od wiersza. Opłata od ogłoszeń większych stosownie do umowy. Za granicą ogłoszenia przyjmują wszystkie biura ogłoszeń. Prenumeratę i wszelkie należytości przesełać najdogodniej przekazami pocztowymi, lub w listach rekomendowanych, albo pieniężnych: **do Administracji Gońca i Iskry we Lwowie, ulica Kraszewskiego l. 23.** Z Ameryki najdogodniej przesełać prenumeratę dolarami papierowymi *w listach rekomendowanych.* — Listy powinny być frankowane. — Numera odnoszą się zawsze do mieszkania każdego miejscowego prenumeratora. — Numer pojedyńczy kosztuje **25 centów.**

Właściciel i naczelny redaktor: M. D. Chamski.



Dr. Robert Koch.

(Rysowane z zagranicznej fotografji. Patrz artykuł pod tym samym tytułem na następnej stronnicy).

Od Ekspedycji.

*Numer niniejszy, do którego dołącza się oddzielny **dodatek Noworoczny całkowicie illustrowany** — celem uregulowania nakładu, opózniony nieco w ekspedycji został.*

Od Wydawnictwa.

Rozpoczynając rok XIV. wydawnictwa, z umysłu nie piszemy obszernej rozprawy o tem, co było i o tem, co ma być. Było tak, jak w twardych naszych stosunkach i ciężkich warunkach bytu, mogło być najlepiej — będzie tak, jak pozwolą siły, cały zapas dobrej woli, najlepszych chęci i szczerego patrjotyzmu polskiego, który był, jest i będzie zawsze naszym codziennym pacierzem i artykułem wiary. Pismo nasze będziemy redagować w tym samym duchu i kierunku, będziemy urozmaicać i dołożymy wszelkich starań, aby było pouczające, pożyteczne i przyjemne. Za usterki w wydawnictwie, jeśli były jakie, serdecznie przepraszamy — ciężko jest wszystkim w naszych stosunkach, ale najciężej, niezawodnie, wydawnictwom perjodycznym w Galicji.

Szanownych prenumeratorów naszych prosimy uprzejmie, aby byli łaskawi odnowić bieżącą i wyrównać zalegającą prenumeraię, nadmieniając, że wszelkie zaległe rachunki, są dla wydawnictwa bardzo uciążliwe. Wszelkie korespondencje tak zwykłe, jak pieniężne adresować należy:

Administracja „Gońca i Iskry"
we Lwowie
ulica Kraszewskiego l. 23.

Dr. Robert Koch.

(Do portretu).

Sława Dra Kocha, taka rozgłośna zrazu, jakoś się teraz bakieruje. Reasumując to, co umysły chłodne i bezstronne mniemają o jego wynalazku, można powiedzieć, że jest to coś, ale co?... tego nikt, ani on sam nie wie.

Oto jest treściwa życiorysowa notatka:

Dr. Robert Koch urodził się w r. 1843 w Rausthalu, jako syn wyższego urzędnika górniczego. Medycyny słuchał od roku 1862 do 1866 na uniwersytecie w Getyndze. Praktykę rozpoczął, jako lekarz pomocniczy przy szpitalu ogólnym w Hamburgu, następnie praktykował w Rakoniewicach (małem miasteczku w W. Ks. Poznańskiem), a w roku 1872 mianowano go fizykiem powiatowym w Wolsztynie, w powiecie Babimojskim (również w W. Ks. Poznańskiem). Zgłoszenie się Kocha o katedrę nadzwyczajnego profesora medycyny, odrzucił Wydział lekarski uniwersytetu we Wrocławiu. W roku 1880 powołano Kocha do Berlina na członka państwowej Rady lekarskiej. Europejska sława Kocha datuje się od roku 1883, a mianowicie od chwili odkrycia przez niego bakcyla, wywołującego cholerę. Od roku 1885 jest zwyczajnym profesorem hygieny i bakterjologji na uniwersytecie berlińskim.

Wynalazek przez Dra Kocha wiadomej limfy znajduje się dziś w takiem stadium, że uczony świat lekarski nic stanowczego powiedzieć nie może, chyba to, że skutki owej limfy i jej leczniczości były w wysokim stopniu przesadzone przez pomocników, czy asystentów Dra Kocha, którzy zgarnęli masę pieniędzy i dla zysków osobistych rozpuszczali .o niej reklamy i humbugi po świecie. — Dr. Koch jest, rzeczywiście, na drodze ważnego odkrycia w medycynie, ale dziś ta limfa nie jest tem, za co ją ludzie mieli, lub mieć chcieli.

Od ręki.

═ Kronika żałobna.

Henryk Schliemann, świeżo zmarły w Neapolu głośny archeolog, urodził się w r. 1822. Z zawodu był kupcem i w krótkim czasie dorobił się milionowego majątku. W roku 1869 porzucił kupiectwo i dał folgę wrodzonej skłonności do podróży; objechał świat naokoło, poczem osiadł w Paryżu i oddał się badaniom archeologicznym. W r. 1869 udał się do Grecji i tu, w okolicach Halikarnassu odkopał starą Troję. Odkrycie to narobiło wiele hałasu i odrazu imię jego głośnem uczyniło, choć z początku wielu nie dowierzało autentyczności wykopalisk trojańskich. Schlieman nie spoczął na laurach; ożenił się w Atenach z greczynką i następnie wraz z żoną prowadził dalsze poszukiwania. Znakomitych skarbów archeologicznych dokopał się w Mycenach, odkrył szczątki miasta Cyklopów na Itace, a następnie zbadał Orhomen i Tiryns.

Z dzieł jego celniejszemi są: „Starożytności trojańskie" (1874); „Myceny" (1878), z przedmową Gladstona; „Ilios" (1881) z przedmową Virchowa i autobiografią autora; „Orchomenos" (1881). Są to przeważnie sprawozdania z poczynionych odkryć, mieszczące jednak w sobie wiele poglądów i wiadomości cennych dla archeologów. Skarby starożytności wydarte przez Schliemana z łona ziemi utworzyły wspaniałe muzeum w Atenach; oprócz tego, wiele cennych wykopalisk ofiarował rządowi niemieckiemu, za co otrzymał honorowe obywatelstwo Berlina.

Oktawiusz Feuillet, jeden z najwytworniejszych francuzkich romansopisarzy i dramaturgów, zmarł świeżo w Paryżu.

Urodzony w Saint Lô 11 sierpnia 1812 r. pisał zrazu pod pseudonimem Dezyderego Hazard, a następnie pod własnem już nazwiskiem stworzył cały szereg powieści, dramatów i komedyj odznaczających się szlachetną dążnością, głębokiem uczuciem i wykwintną formą.

Z romansów wymieniamy na prędce: „Polichinelle", „Onesta", „Alix", „Odkupienie", „Bellach", „Klucz złoty", Pustelnia i wieś", „Romans ubogiego młodzieńca", „Historja Sybili", „Hrabinka", „Pan de Camors", Julia de Trescoeur", Małżeństwo światowe", „Julia", „Umarła", „Honor artysty".

Z dramatów i komedyj: „Straszna noc", „Mieszczanin rzymski", „Przesilenie", „Za i przeciw", „Owoc zakazany", „Miłość i dyplomacja" (Peril en demeure), „Wioska", „Wieszczka", „Dalila", „Pokusa", „Montjoye", „Zaczarowana księżniczka", („La belle an bois dormant"), „Panowie du Bois doré", „Sfinks", „Akrobata", „Miłość ubogiego młodzieńca" (przeróbka z powieści).

Feuillet, jako pisarz, był ulubieńcem płci pięknej, której naturę znał i nigdy się nie dopuścił niczego, coby ją razić mogło.

Był czas, że i w naszem społeczeństwie wykształconem był bardzo czytany, a w literaturze naszej liczymy mnóstwo przekładów dzieł Feuilletta, mianowicie scenicznych.

═ Ciekawy sposób.

Węgrzy niebawem obchodzić będą tysiącletni jubileusz swego pojawienia się w Europie, a ciekawy jest sposób, w jaki doszli do dokładniejszego oznaczenia daty tego jubileuszu, której ściśle nie byli pewni. Jeden z ich historyków znalazł w kronice pewnego mnicha bizantyjskiego wzmiankę, że podczas najazdu bułgarów zaszło takie zaćmienie słońca, że o 6-tej po południu wszystkie gwiazdy widziano na niebie. Ponieważ wiedziano, że ukazanie się madziarów na scenie dziejowej nastąpiło zaraz po najściu bułgarów na państwo wschodnie, więc zaczęto badać wszystkie zaćmienia słońca, jakie się zdarzyły między rokiem 887 a 896 i przekonano się, że zupełne zaćmienie słońca obserwowano w Bizancium 8. Sierpnia 891 r. Ów zatem jubileusz narodowy węgierski będzie prawdopodobnie obchodzony w r. 1892.

═ Feralne dnie...

Feralne dnie nastały na wielkich ludzi. Stanley tak nagle zjechał z wyżyny, na jaką go po powrocie do Europy wywindowali anglicy, żeśmy się ani spostrzegli; — no i jakoś napowrót wygramolić się nie może. Miał w tych czasach odczyt w Nowym Jorku; była to poniekąd *oratio pro domo sua*, ale nic nowego nie powiedział, nie zbił stanowczo zarzutów, nie zrobił wrażenia. Gwiazda jego zaćmiewa się co raz bardziej

═ Zmienność losu.

Wielkiej zmienności losu doznała głośna bardzo w świecie paryzkim za cesarstwa panna de la Brétéche. Sprzykrzywszy sobie uciechy ziemskie, panna de la Brétéche cofnęła się przed laty dwudziestu kilku do życia zupełnie prywatnego i osiadłszy w majętności swej pod Gennevilliers, poświęciła się biednym, udzielając pomoc wszystkim tym, którzy do niej kołatali. Miłosierdzie swoje posunęła jednak za daleko, albowiem całą fortunę rozdała na cele dobroczynne i r. z. zastał ją literalnie bez grosza. Pod zimę ubóstwo panny de la Brétéche, doszło do tego stopnia, że sama pragnęła umieścić się w jednym z zakładów dobroczynnych, któremu niegdyś wiele świadczyła. Odmówiono jednak temu życzeniu dla braku miejsca. Dwa tygodnie nareszcie temu umieszczono pannę de la Brétéche, jako przekonaną o włóczęgostwo, w przytułku żebraczek i włóczęgów w Nanterre. Spędziwszy tydzień w tym domu, uciekła i w parę dni później na wpół martwa i zmarzła znaleziona została biedaczka w jednym z okolicznych lasów. Umierającą policja umieściła w szpitalu w Beaujon.

Panna de la Brétéche liczy obecnie lat 68.

═ Poprzednicy Kocha.

Teraz, kiedy imię doktora Kocha nabrało szczególnego rozgłosu, w skutek jakoby wykrycia przezeń środka przeciw suchotom, ten i ów z lekarzy poczyna się przyznawać dyskretnie, że właściwie to on sam dawniej jeszcze i t. d., że Kochowi ani się jeszcze śniło, kiedy on już robił doświadczenia i t. d. Takich spóźnionych odkrywców najwięcej podobno liczy Francja; spotykamy tu bowiem codzień w dziennikach wynurzenia, że jeszcze przed laty dwudziestu, trzydziestu, pięćdziesięciu i dawniej nawet, próbowali tego systemu doktorzy A, B, C, D, E, F, i t. d. Rzecz dziwna, jak francuzi zatracili poczucie śmieszności, które tak zwięźle streściło się niegdyś w ich przysłowiu narodowem: „Śmieszność zabija". Nie dość im Pasteura, zazdroszczą niemcom Kocha i usiłują par force przekonać świat, że Koch jest tylko reprodukcją tego, co u nich „o mało" że nie zrobiono! Ale odkrycie, jakie teraz uczynili w tej dziedzinie, przechodzi istotnie wszystko. Oto, ni mniej, ni więcej tylko najpierwszym z poprzedników Kocha był... Marat.

Doktor August Cabanés najpoważniej oświadcza w ostatnim poszycie paryzkiego „Intermédiaire des Chercheurs", że Marat zanim się wziął do redakcji „*Ami du peuple*" trudnił się medycyną i wynalazł nieomylne lekarstwo na suchoty.

„Wyleczywszy z tej strasznej choroby margrabinę Laubespine", — powiada p. Cabanés, — ujrzał niebawem Marat tłumy suchotników, dążące do jego domu przy ulicy de Bourgogne.. Ale ten rozgłos trwał niedługo, albowiem Marat zarzucił niebawem medycynę. Pytano go wielokrotnie potem, jakiej metody się trzymał w leczeniu suchot, ale nigdy nie chciał wyraźnie powiedzieć..."

Wielka szkoda zaiste i dziwić się tylko trzeba, że ten szczególny „ami du peuple", przez samą miłość dla ludu nie zwierzył się z sekretu, a przynajmniej, że nie przekazał go w spuściznie po sobie. Wszak pisać umiał.

═ Z pola literatury i sztuki.

Bardzo na czasie pojawiło się w Warszawie wydawnictwo „Wielkiej Encyklopedji powszechnej illustrowanej". Wielka Encyklopedja Orgelbranda została już zupełnie wyczerpana, a zresztą przestarzała się, tem bardziej, że nikt nie pomyślał o corocznych jej uzupełnieniach. Z dwóch mniejszych Encyklopedyj: Orgelbrandów i Ungra, które wychodziły jednocześnie, pierwsza jest przeważnie skróceniem wielkiej; druga, zrazu redagowana bardzo starannie, przez liczne grono współpracowników pod kierunkiem ś. p. Filipa Sulimierskiego, w drugiej połowie puszczona została, jak to

mówią, na pytel i ukończona przez jednego, jedynego pracownika. Obie za szczupłe, nie dopełniane również przez lat kilkanaście, nie odpowiadają nawet skromnym warunkom, jakich się wymaga od Encyklopedji.

Nowa Encyklopedja, której właśnie mamy przed sobą dwa tomy (zeszytów 16) świeżo ukończone, przedstawia się i zapowiada pod każdym względem korzystnie. Rękojmię jej wartości wewnętrznej dają znane po większej części chlubnie nazwiska członków redakcji i szerokiego koła współpracowników. Wydawnictwo tego rodzaju publikacji, zakrojonej na skalę znacznie szerszą od Encyklopedji wielkiej orgelbrandowskiej, na skalę europejską, jest zadaniem nie lada. Z natury swojej wymagając współudziału sił licznych, a różnorodnych, napotyka, zwłaszcza z początku, na niemałe trudności w ich zharmonizowaniu, dostrojeniu do jednego kamertonu. To też nie można nawet robić zarzutu wydawnictwu i redakcji nowej Encyklopedji, z pewnych uchybień przeciw tej harmonji, z pewnej nierównomierności artykułów, w początkowych mianowicie zeszytach, a to tem bardziej, że w dalszych usterki te coraz bardziej znikają. Nie należy wątpić, że wydawnictwo to, pod względem treści, stanie na wysokości europejskich tego rodzaju publikacyj, a pod niektóremi względami, jak na przykład pod względem rzeczy swojskich, daleko je zostawi za sobą.

Pod względem typograficznym, nowa Encyklopedja jest bez zarzutu, a pod względem ilustracyj, na które się składają drzeworyty, kolorowe druki i chromolitografie, jeden chyba można jej zarzut zrobić: że jest w nie za bogata. Że jednak illustracje, w Encyklopedji mianowicie, mają wielkie znaczenie, uplastyczniając w oczach czytelnika wiele przedmiotów, o których żaden opis dokładnego nie da wyobrażenia; że dziś świat czytający tak się już zwydrzył, że w każdej rzeczy drukowanej rozgląda się przedewszystkiem za illustracjami, — więc nie można w żaden sposób brać za złe wydawcy i tej hojności, która zresztą jeżeli komu, lub czemu szkodzi, to tylko jemu i jego kieszeni.

Jednej rzeczy tylko wypada życzyć wydawcy, a mianowicie: żeby mu z czasem, jak się to u nas, niestety, zbyt często praktykuje, skrzydła nie pogorzały. Przedsiębiorstwo, które podjął, pociągnie się dosyć długo; trzeba, żeby przez cały ten czas znać było tę samą, niezmordowaną, niesłabnącą ani na chwilę zabiegliwość i staranność. Doszedłszy nawet od *a* do *z* jeszcze spocząć nie można: trzeba myśleć o coraz nowych dopełnieniach, bez których dzieło główne bardzo prędko połowę straci wartości.

Naturalnie, że takie wydawnictwo wymaga obok tego wielkich nakładów, ale to już rzecz wydawcy. Możemy go z jednej strony pocieszyć w tej mierze nadzieją, że ogół nasz, który umie cenić usiłowania prawdziwie pożyteczne, przyjdzie mu z dzielną w tym wysiłku pomocą; z drugiej musimy przyznać, że jeżeli wytrwa do końca, nie tuzinkową odda społeczeństwu swojemu przysługę.

═ Dom gry w Monte Carlo. Towarzystwo akcyjne, utrzymujące dom gry w Monte Carlo, odbyło ogólne zebranie roczne. Lubo dziennikarze nie byli na posiedzenie dopuszczeni, udało się reporterom zdobyć jednak niektóre o niem szczegóły. Pomieścił je „Times“ londyński. Prezydujący na zebraniu odczytał przedewszystkiem sprawozdanie, w którem oświadczył między innemi, że podobny *maison de plaisir* stanowi potrzebę bezwzględną. Gdyby dziś, czy jutro bank w Monte Carlo został zamknięty, otworzonoby bezzwłocznie dom gry w jakiejkolwiek innej miejscowości — nie w Monaco to w Marocco, nie na lądzie, to na morzu w postaci pałacu pływającego, bo „namiętność do gry musi być uwzględnioną i zaspokojoną“. Na zebranie roczne mają prawo wstępu ci z akcjonarjuszów, którzy najmniej 200 akcyj posiadają. Każda akcja wartości nominalnej 500 franków, płaci się obecnie po 1500 do 1600 franków. Dopóki właścicielem domu gry był p. Blanc, ogólna wartość akcyj przedstawiała sto tysięcy franków, a wszystkie znajdowały się w ręku dzieci i blizkich krewnych właściciela. Po utworzeniu Towarzystwa akcyjnego, wypuszczono 60.000 akcyj po 500 franków, z czego większość w ręku rodziny Blanc pozostała. Corocznie odkłada się milion franków na fundusz zapasowy. Ponieważ akcjonarjusze mają przekonanie, że dom gry w Monaco zamkniętym nie będzie, przypuszczają zatem, że po latach 23 zbierze się kapitał zapasowy tak olbrzymi, iż będzie można bardzo znacznie rozszerzać operacje. Posiadacze akcyi nominalnie otrzymują po 5 od sta dywidendy, faktycznie zaś każda akcja w ciągu lat ostatnich przynosi po 155, 160 a nawet po 170 franków. Dochód Towarzystwa z samych tylko stołów gry dochodzi do dwudziestu milionów franków. Każdy stół przynosi dziennie przeciętnie od 4000—5000 franków, bywają dnie jednakże, dające po 100 150 tysięcy franków. Ponieważ w ruletę grywają na ośmiu stołach, łatwo sobie wyobrazić, jaki dochód daje ta gra fatalna. W „trente et quarante“ grają tylko przy dwóch stołach. Wydatki na utrzymanie domu są wcale znaczne. Książę Monaco otrzymuje według kontraktu około miliona rubli rocznie, a obok tego ponosi Towarzystwo akcyjne wszystkie koszta utrzymania administracji miejscowej, wszystkie wydatki na urządzenie rozmaitych festynów i uroczystości, a także „wydatki sekretne“, w pośród których bardzo potężna suma idzie na przekupywanie wpływowych dzienników paryzkich. — Poprzedni właściciel banku miał rękę bardzo „szeroką“ i sypał złotem na wszystkie strony, obecnie, gdy głównymi akcjonarjuszami, posiadaczami największej liczby akcji, stali się spadkobiercy Blanca, książę Roland Bonaparte i książę Radziwiłł, zaprowadzano rozmaite oszczędności. Lokale, wynagradzanie służby, pozostawiają wiele do życzenia, bo też „dobry ton“, jeżeli w tym wypadku możliwem jest mówić o dobrym tonie, z roku na rok maleje. — Powiedziawszy o wspaniałych dochodach, jakie przynosi dom gry w Monaco, trzeba dodać zaraz, że w jednym tylko roku bieżącym odebrało sobie życie 87 ofjar rulety. — Ani jeden z tych, „co próbują szczęścia“ w Monte Carlo, nie może ręczyć, czy wcześniej, lub później, nie skończy z sobą w taki sam tragiczny sposób. W pośród kosmopolitycznych tłumów, wyczekujących na rezultat gry z gorączkowem wytężeniem, panuje zawsze grobowe milczenie. Spotyka się tu wszystkie możliwe typy i wszystkie możliwe odcienia fizjognomji ludzkich, damy wielkoświatowe i damki z pół-światka, miljonerów, dla których żadna przeszkoda nie stanowi różnicy i rozbitków, ryzykujących ostatni grosz zapasowy, arystokratów i awanturników, księżniczki i kokotki. A pośród głębokiej ciszy rozbrzmiewają tylko automatyczne okrzyki krupierów: *„Messieurs, faites voutre jeu“* i niby głos złowieszczego puszczyka: *„le jeu est fait, rien ne va plus“*.

Także polowanko.

Humoreska

Aurelego Urbańskiego.

Z rękoma po napoleońsku założonemi w tył, z głową zwieszoną, głęboko zasumowany, posuwałem się odludniejszą ścieżką Botanicznego ogrodu. Wtem stanął przedemną mężczyzna w sile wieku, średniego wzrostu, o orlim, szlachetnie zakrojonym nosie i gęstej, kruczej, tu i owdzie szronem przyprószonej brodzie, uderzył mnie z lekka po ramieniu i zmierzywszy mnie poczciwem, łagodnem swem okiem, rzecze:

— Nad czem tak dumamy?

Był to autor „Kłopotów starego komendanta“.

Któż nie zna autora „Kłopotów starego komendanta“, nie czytał pysznych jego humoresek i czytając je, któż nie uśmiał się zdrowym, serdecznym owym śmiechem, co to nie denerwując burzliwie, lecz swobodnie, jak spokojna fala płynąc z klatki piersiowej i różowo cię usposabia i dodaje apetytu?

Z pism jego znamy go wszyscy. Ja liczę się do tych szczęśliwszych, którzy zaszczytną mają przyjemność, a oraz przyjemny zaszczyt znania go nietylko z druku, lecz i z osoby.

— Nad czem tak dumamy? — powtórzył.

— Ratuj kochany, drogi panie Albercie! Tonę.

— Tam do licha... W jakąż wpadłeś pan kałużę?

— Autorską. Wylęgam i wyląc nie mogę.

— Ba, łatwiej wywodzić kurczęta, aniżeli pomysły. I nad czemże ślęczycie tak mozolnie?

— Chciałbym... tak... coś z życia, na dany temat. Domagają się na odmianę obrazka ze sfer *nemrodowych*. Tytuł mam; lecz dalej ani rusz.

— Jaki tytuł?

— *„Polowanko“*.

— Otóż macie! Brak mu pomysłu, a ma tytuł i błądzi *właśnie* po Botanicznym ogrodzie.

— *Właśnie?*... Nie rozumiem.

— No, a wasze „polowanko“ z przed laty dwudziestu? Wszak niedawno temu opowiadaliście mi je z dokładnymi szczegółami. Wracaj pan do domu, siądź i palnij „obrazek z życia“.

Uścisnął mi rękę i znikł w załomie ścieżki, za kasztanami.

Ja zaś pobiegłem do domu, siadłem i palnąłem. Może... głupstwo?... Ha, jeśli opowiadanie moje nikogo nie zajmie, przynajmniej to mnie pocieszy, iż z góry mam rozgrzeszenie autora „Kłopotów starego komendanta...“

Cofnijmy się wstecz o lat dwadzieścia pięć, a więc (jak obszył) o ćwierć wieku. Puściwszy się Akademicką ulicą ku lwowskiej *Alma-Mater*, to jest ku wszechnicy św. Mikołaja, wydostawszy się na pierwsze piętro (korytarz na lewo) i przez dziurkę od klucza, w czwartych z rzędu drzwiach, wkradłszy się do wązkiego, lecz długiego pokoiku, zastaniemy w nim leżącego na wznak na sofeczce wątłego, wymokłego, szesnastoletniego brunecika, który, podłożywszy sobie pod kark łokieć prawej ręki, w lewej trzymał wielki arkusz zadrukowanego, ostemplowanego papieru i uporczywie odczytywał go to z góry na dół, to z dołu do góry.

Kochany „stary komendant“ i tak zdradził *incognito* zapowiedzią własnej mojej przygody z przed laty. Nie wypada mi więc, jak tylko bez dalszych ceregieli przyznać się otwarcie: Tak, leżący na sofeczce młodzian — to wasz sługa. Z nieopisanem zadowoleniem i zasłużoną dumą *ex-abiturienta* badał on szczegółowo kreskę po kresce, kropkę po kropce, w wymownem *testimonium* tak upragnionej *maturitatis*.

Pokoik skromnie, lecz schludnie był urządzony. Zwyczajnie, jak u przyszłego akademika. Jedynie nad sofką zwracało uwagę coś w rodzaju wiszącej na ścianie panoplji. Na tablicy w ramach olchowych, powleczonej zielonem suknem błyszczał kordelas, brzeszczotem i pochwą ułożony na krzyż, zwieszały się na taśmie dubeltówka — i torba borsucza — i trąbka — i rożek na proch — i skórzany woreczek na śrut — i maszynka na pistony; słowem cały myśliwski rynsztunek.

I to u miejskiego młodzieniaszka? Ba, od chłopięctwa czuł on już w żyłach niepowściągnięty pociąg ku szlachetnemu zawodowi *Nemroda*. Częścią grała w nim krew rodowa, częścią w podrostku już rozdmuchał tę namiętność widok polującego na wsi, w czasie wakacyj, wujaszka. Wprawdzie, dopiero kilka razy w życiu nasz młodzian strzelbę miał w ręku i zaledwie mógł się poduczyć, jak z zabójczem narzędziem obchodzić się należy; a jednak, niechnoby kto był pozwolił sobie w jego przytomności niewinnie zażartować z „panów myśliwców od niedzieli“, a pojedynek nieunikniony.

Z powagą więc pokazywał zazdrosnym kolegom zajmującą swoją zbrojownię, objaśniając dokładnie przeznaczenie każdego przyboru, sposób jego użycia i okoliczności, towarzyszące objęciu go w posiadanie. Jeszcze w piątej klasie, za studenckie zaoszczędzenia nabył on na tandecie borsuczą torbę; w szóstej zdobył się już na kordelas i prochowniczkę, w siódmej dochrapał się trąbki i woreczka na śrut; w ósmej, maturą

zajęty, zaledwie już tylko zdołał wzbogacić swój zbiór maszynką na kapsle. Lecz za to, po szczęśliwie zdanej maturze, wujaszek nadesłał mu w upominku: szczyt jego marzeń, cudownie rzeźbioną lepażówkę. Uzbrojenie stało się zupełnem, a on sam uczuł się pasowanym na kapłana boskiej Diany, w pełnem znaczeniu tego wyrazu.

Na sofeczce tedy wyciągnięty, rozkosznie napawałem wzrok dokumentem, stwierdzającym akademicką moją dojrzałość, gdy nagle drzwi odskoczyły z trzaskiem i wpadł powidłami zawalany Tośko, jedyna płci męzkiej latorośl stróżowej Jakóbowej.

— Gwałtu, paniczu!

— Co się stało?

— Okropieństwo, co się stało! Niech panicz zaraz biegnie do *botaniki*.

— Do ogrodu? Po co? Na co?

— Strach, jakie zwierzysko!

— Jak Boga kocham! Słyszy panicz? To Rózia; ona poświadczy.

Wpada Rózia z pałającem pysiem, gwałtownie robiąc płucami.

— Paniczu! Jej, co tam w krzakach siedzi!

— No cóż siedzi!

— Smok! Takie ślepie ma, że spojrzeć strach.

— A zęby, o, takie! — dodaje zadyszany Tośko.

— A pazury, o, takie! — uzupełnia Rózia

— Ogon ma na trzy łokcie...

— Nieprawda, nie ma ogona!

— Ma ogon! A kudły jasno kasztanowate.

— Nieprawda, czarne ma kudły!

— Nieprawda, bo kasztanowate!

— Nie kłóćcież się dzieci — przerwałem z powagą sędziego, choć serce tłuc mi zaczęło, jak młotem. — Które z was widziało zwierza na własne oczy?

— Ja, paniczu!

— Ja, paniczu!

— A więc oboje. Dobrze dziatki. Jakiej wielkosci ten zwierz?

— Jak pies — woła Tośko

— Nieprawda, jak krowa — oponuje Rózia.

— Zwolna, zwolna, dziateczki. Niby więc coś w pośrodku między psem, a krową. A jakiej barwy futro? Tylko mówcie prawdę, tak, jak widzieliście na własne oczy.

— Kasztanowate, paniczu.

— Czarne, paniczu.

— Nie zgadzacie się z sobą. Widocznie jest więc barwy niejednostajnej. Pewnie ma centki...

— Ma centki.

— Nie ma centków.

— Eh, kto tam dojdzie prawdy. A w których krzakach siedzi?

— Pod biblioteką.

— Nie prawda, pod szklarnią.

We drzwiach, łamiąc ręce, staje sama pani Jakóbowa.

— Rany boskie, paniczu! W *botanice* siedzi jakaś bestja!

— Wiem, wiem.

— Moja biedna, stara kokoszka! tak regularnie znosiła mi jaja!

— No?!

— Przypadkiem wleciała do *botaniki* przez okno... i..

— I co?

— Bestja wyskoczyła z krzaka i schrupała ją, het, z pierzem i kośćmi. O, ja nieszczęśliwa sierota!

— Ot, bredzicie. Może to obcy kot.

— A cóż to? nie poznamy kota?! Widziałam straszydło ot na te moje rodzoniuteńkie oczy. To coś okropnego, to nie tutejsza poczwara.

— Nie tutejsza?

Serce groziło mi wyskoczeniem z piersi i mimowoli skierowałem oczy ku dubeltówce.

— Jakubowo... Wyście starsza, doświadczona kobieta. Powiedźcie, jak *ono* wygląda?

— *Ono* wygląda strasznie i okropnie, paniczu. *Ono* wygląda jak, nieprzymierzając, baran.

— Jak pies — woła Tośko.

— Jak krowa — woła Rózia.

— Cicho dzieci, — woła matka. — Otóż paniczu, wielkie jak baran, a żółciuteńkie jak kanarek, tylko, że ciemno nakrapiane.

— Ależ czarne, matusiu!

— Nie czarne, kasztanowate, matusiu!

— Cicho, dzieci!

— Język, paniczu, ma czerwony, jak rozpalona dusza do prasowania, a ogon gruby, jak maczuga!

— Nie ma ogona!

— Ma ogon!

— Cóż bo znowu... Każde z was prawi co innego. Chyba wam się przyśniło. Zkąd by tam się wziął, jaki dziki zwierz w ogrodzie?...

— Jak to zkąd? A *menażerja* na „Zielonem?“ Może *ono* uciekło z tej budy, a jak weźmie chrupać, to nas w tej *botanice* wszystkich wyżre co do nogi!...

Na te słowa Tośko z Rózią w płacz Jakóbowa przygarnęła dzieci do matczynej piersi i na przemian, ocierając im oczy fartuszkiem, sama gorzkiemi zalała się łzami.

— Cyt, cyt, pan Bóg łaskaw.

Hm! powiedziała: z menażerji... To już trafiło mi do przekonia. A gdyby tak było? Nic to nadzwyczajnego. Z menażerji często umykają dzikie zwierzęta, szerzą paniczny postrach, a nawet stawały się nieraz powodem nieszczęsnych wypadków...

Tymczasem pod oknami rósł gwar coraz donośniejszy. Wychyliwszy się, spostrzegłem gromadkę uniwersyteckich stróżów i innego autoramentu służby, zbrojnej w drągi, kilofy do rozbijania gołoledzi, łopaty, haczki, osęki i t. p.

— Panicz! — zawołano i kilkanaście głów podniosło się ku pierwszemu piętru.

— Moi dobrzy ludzie, co to za zwierz w ogrodzie?

— Alboż my wiemy? Jakieś smoczysko, czy co. Trzebo dać znać na policję.

— Po co tu policji? — przerwie stary Jan. — Przecie panicz ma fuzję.

— Oj, paniczu, paniczu! — jęczy *unisono* chór — zastrzel panicz smoka!..

Na twarz wystąpił mi lekki rumieniec. Co za wzniosła sytuacja!... Cała ta wylękła trzódka nieporadnych nieboraków zawisła wzrokiem na moich ustach, oczekując wyroku. Wszyscy ci ludzie widzą we mnie obrońcę dziatek swoich i żywego swego inwentarza, jedynego zbawcę w obec grożącego im krwiożerczego potwora.

Poważnie wyprostowałem się, powściągając wzruszenie.

— Owszem, moi kochani. Zaraz *sam* zejdę, lecz trzeba mieć się na baczności, ażeby zwierz nie uszedł przez parkan, lub na was nie wypadł przez tę bramę.

Gromadka z przerażeniem utkwiwszy oczy w żelaznych kratach, jednym rzutem tłoczy się w przeciwną stronę.

— Nie lękajcie się... *Ja* z wami. Zaraz zejdę *sam*. Przedewszystkiem, jednak, baczność i rozwaga. Kobiety do izb. Ty Piotrze z drągiem staniesz u bramy.

— Ja boję się sam.

— Więc Jan z osękiem stanie koło ciebie. Szymon z Bartłomiejem zajdą od szklarni i zaczekają na mnie pod parkanem. Pięciu chłopców z łopatami potrzeba mi do naganki. Tomasza, Franciszka, Łukasza i Grzegorza z kilofami zatrzymuję przy sobie. Ty, zaś, Antek, pędź na drugie piętro, siądź w oknie od ogrodu i uważnie patrz w krzaki!

Po otrzymaniu dyspozycji, donośnie wygłoszonej i tonem stanowczym, wszyscy pospieszyli na swe stanowiska. Zostałem sam i westchnąwszy pobożnie z głębi duszy, z pośpiechem jąłem przyspasabiać się należycie do walki. Naturalnie, przyodziałem się w nowiuteńką, myśliwską kurtkę, z zielonymi rabatami; włożyłem niezbędne filcowe kamasze po kolana, narzuciłem na bakier czapeczkę zdobną w pióro głuszca i w sowią główkę ze szklanemi ślepkami; przez barki przewiesiłem borsuczą torbę, róg z prochem, worek na śrut, maszynkę na kapsle, naostatek manierkę i trąbę, potem zaś zabrałem się do nabijania obudwu lufek lepażówki, w braku kul i lotek używając podwójnych nabojów ptasiego broku. Podczas gorączkowej tej manipulacji wysypałem na podłogę kilka garści prochu, gdyż ręce trzęsły mi się, jak w febrze. Równocześnie wiodłem z sobą taki monolog:

— Wielki jak krowa... To niedźwiedź... Ale niedźwiedź nie targnąłby się na starą kokoszkę.. Pewnie więc wilk... Ale wilk nie żółty, jak kanarek... Żółty, a czarno centkowany... Ogon na trzy łokcie . Język czerwony, jak rozpalona dusza do prasowania... Ha, to *pantera* z menażerji!... Onegdaj przypatrzyłem się jej dokładnie.

Zadrżałem. Jeśli to pantera?!... A jednak, gdyby udało się położyć ją trupem, zanim nadciągnie żandarmerja... A ona, ach, gdyby mi z łaską boską nie zrobiła nic złego.. Cóż za tryumf!... Co za sława!... Wszystkie gazety trąbiłyby o mnie...

Jestem gotów. Znów przeżegnawszy się pobożnie, biegnę. Na korytarzu wstrzymuje mnie matka.

— Lolu, stój!... Gdzie pędzisz? Kto wie, co to jest? Na co tej maskarady?

— Moja mamo, bezbronnych biedaków nie mogę przecie opuścić w takiem niebezpieczeństwie...

Pędzę schodami.

Przed gmachem roją się tłumy ludu, co niemiara. Czekają już Franciszek, Tomasz, Łukasz i Grzegorz, najsilniejszych czterech chłopów całej akademji. — Każdy z nich dzierży w ręku żelazny, ciężki kilof, Zakomenderowałem „naprzód“ i pomknęliśmy do ogrodu.

U bramy, na posterunku, stali Piotr z Janem, dygocąc od strachu.

— Odwagi, dobrzy ludzie, odwagi... *Ja* z wami...

Wtargnęliśmy za kratę. Na czele uszykowałem czterech moich siłaczy. Za nimi ja, uzbrojony w lepażówkę. Za mną naganka. Za naganką, to wahający się, to naciskający tłum. Z okna drugiego piętra huka Antek:

— Hop! hop! W krzakach cicho. Siedzi pod szklarnią.

— Nieprawda! — zagłusza go czereda niewieścich spektatorów, obsaczająca cały szereg dalszych okien. — Nieprawda! Siedzi koło „ronda“, pod złamaną lipą, w pokrzywach!

Ruszamy do „ronda“, pod złamaną lipę, w pokrzywy.

Od strony szklarni czekał przy parkanie Szymon z Bartłomiejem.

— Stać!

Ściągam z posterunków Jana z Piotrem, tudzież Bartłomieja z Szymonem, zbliżamy się ku gąszczom zarosłym pokrzywami i komenderuję dalej:

— Otoczyć krzak! — Dwóch z prawej, dwóch z lewej! Wy czterej stańcie przy mnie. A teraz naganka niech wyje co siły i łopatami tłucze po gałęziach. Naprzód!

Co do mnie, ustawiwszy tuż przy moim boku z prawej Tomasza z Grzegorzem, zaś Franciszka z Łukaszem z lewej, zająłem środek ścieżki i zwrócony ku gęstwinie, odwiodłem kurki.

Na dany znak, rozległ się srogi hałas i trzask łopat druzgocących gałęzie.

— Jest! jest! a bij! — zawołało nagle kilku z nagonki, odskakując z przestrachem.

W głębi krzaka coś się poruszyło i łysknęło, niby para ognistych ślepi. Odetchnąwszy głęboko, zmierzyłem i... łup! łup! z obydwóch luf odrazu. Naboje widocznie zanadto obfitowały w proch, gdyż strzał gwałtownie pchnął mnie wstecz. Równocześnie z nim jęknęło coś opodal, w gęstwinie zaś załomotało, jak gdyby zwierz gotował się do skoku.

W popłochu rzuciliśmy się ku bramie.

Oni wszyscy — no... i ja także. A nuż pantera, tylko postrzelona?...

Już znaleźliśmy się blizko bramy, gdy koło nas przebiegł jakiś starozakonny, wlokący bladą, omdlałą niewiastę, sam zaś nieludzkie wydający tony. Innym razem, wobec mniej niezwykłych okoliczności, epizod ten byłby może zwrócił moją uwagę, lecz w tej chwili głos Antka gromko dał się słyszeć z okna:

— Leży! Leży na ścieżce! Zabity na śmierć!

Wróciliśmy.

Na ścieżce istotnie leżało, jak struna wyciągnięte, jakieś zwierzę wielkości jamnika. Patrzę: gęste, żółtawe miało futerko i potężny ogon kształtu wiechy. Do zakrwa-

wionej, lśniącemi, ostremi zębami zaopatrzonej paszczęki, przylgnęły ślady pierza po Jakóbowej kokoszce.

— Żbik, nie żbik.. Kanguar, nie kanguar... szepnałem zadumany, trącając go kolbą.

— Lis szelma! — nadbiegając zawołał stary Jan.

— Lis?...

Spadłem trochę z obłoków, lecz lis zawsze to zwierzyna. Wszak na lisy odbywają się piękne polowania. Jeszcze z pięć takich skórek, a będzie lisiurka. Cóż to za raj pysznić się lisiurką z własnych łupów myśliwskich! Lecz otóż i Antek.

— Bierz, malcze i nieś go za mną

Spojrzałem dumnie po otoczeniu, które rozstąpiło się z uszanowaniem, poprawiłem z fantazją czapeczkę, zarzuciłem lepażówkę przez plecy i puściłem się ku domowi: ja przodem, za mną Antek dźwigający łup, za Antkiem hufiec zbrojnych, dalej nagonka, nakoniec żywo giestykulująca galerja widzów. U wnijścia do gmachu z trudnością przebić się zdołałem przez ciżbę, wskazującą to na myśliwca, to na jego trofea. Nawet na schodach nie brakło ciekawych.

Na piętrze, tuż przed samemi drzwiami, rzecze nagle do mnie Antek:

— Paniczu, a co on tu ma?

— Pewnie ranę z postrzału. Mierzyłem prosto w serce.

— Ej, nie. Tu, na szyi Jakiś pasek.

Spojrzę: na szyi lisa pod futrem, połyskiwała wąziutka, misterna, łańcuszkowa obróżka. Zrobiło mi się jakoś nieprzyjemnie... Nagle, na korytarzu, za drzwiami, słyszę niewieści płacz i groźne męzkie wymówki. Otwieram i wchodzę.

Matka zlewa wodą szlochającą żydóweczkę, słaniającą się z krzesła; obok zaś towarzysz jej, blady, choleryczny żydek, wymachując rękami, pomstuje:

— *Gewałt!* Co to jest? Kryminał! *Todgeschossen, todgeschlugen!*

— Oto nabroiłeś! — surowo przywitała mnie matka.

— Ja? Upolowałem przecie lisa... — odpowiem trochę jeszcze wyniośle, a przecie nieco już skonfudowany.

— Polowanie w publicznym ogrodzie, w jasny dzień, w samym środku miasta, co za niedorzeczność? Patrz: gdzieś tam na ławce siedzieli oboje. Teraz rozpytał się, tu mi ją przyniósł i dziewcze ze strachu wciąż mdleje.

— *Todgeschossen! todgeschlugen!* Kryminał! — zawodzi żydek, usuwając się ostrożnie z pobliża dubeltówki.

Skręciłem się zmięszany. Wtem na korytarzu nowa ukazuje się postać nieznanego sługusa, w wojskowej czapce.

— Proszę państwa... Pani majorowa prosi, ażeby państwo oddali naszego lisa.

— Jaka majorowa?

— A ze Stryjskiego przedmieścia. Dzieci płaczą. bo lis przegryzł łańcuszek i uciekł.

— Co? więc on był oswojony?

— Jak pies, proszę pana. Jakoś go źle dziś przypilnowałem i... niech państwo oddadzą. bo dzieci bardzo lamentują.

— Bierz go sobie. Oddaj mu, Antek!

— Dla Boga! Taż on nie dycha...

— Jakże ma dychać — objaśnia Antek — skoro zastrzelony?!

— Oj, głoważ moja, głowa! Lisiu, lisiuniu, a kiwnijże ogonem; może jeszcze masz dech w sobie... Wszyscy święci, wszyscy święci!... Jak tam wrócić z nim, kiedy się nie rusza!... Pan major uszy mi oberwie!...

Łzy puściły mu się ciurkiem; to czule głaszcząc lisa, to wstrząsaniem budząc go do życia, rwał sobie włosy z rozpaczy.

— Miła przygoda, niema co mówić! — burczała zakłopotana matka. — Chłopczysko prawie pod wąsem, maturę zdał i takiego nawarzył piwa!... — Żeby choć ojciec był w domu... Co ja teraz z nimi tu poczne?!...

Z wielką biedą przecie udało się biedaczce wyprawić szczęśliwie starozakonną parę, nieco udobruchaną. Biadającego sługusa *par force* wtrąciłem za drzwi, wraz z lisem nieboszczykiem. Zadudniało przed gmachem i z dorożki wypadł mój ojciec. Kilku skokami był już na górze.

— Gdzie Lolo? — Na Halickiem zgiełk. Jakiś straszny wypadek wydarzył się w botanicznym ogrodzie; gdzie Lolo?

— Jest, mężu, jest...

— Zdrów?

— Zdrów...

— Nie postrzelił się?

— Broń Boże..

— Ah, otóż i on! — Co ty tam robiłeś w ogrodzie?

— Nic, tatku!... Polowałem na lisa...

— Na lisa? Proszę... proszę! Pokaźno, synku, dubeltówkę.

Podałem ją w milczeniu.

Obejrzał, zaniósł ją do swojej kancelarji i zamknął w dębowej szafie na dwa spusty.

Takie to urządziłem sobie, na własną rękę, pierwsze „polowanko“ z naganką; cudowna zaś moja lepażówka przebyła w ojcowskiej szafie dwuletnią kwarantannę.

Wychowaniec.

Powieść z angielskiego

przez

Waltera Besant.

I.

Przed laty.

Od lat dwudziestu pięciu, to jest od chwili, w której rozpoczynamy opowiadanie nasze, niewiele się zmieniło na posępnej i ciemnej ulicy Szpitalnej, położonej w najuboższej dzielnicy Londynu. Nawet stare, poczerniałe od dymu i wilgoci mury kamienic, zastalibyśmy dziś prawdopodobnie w tej samej zniszczonej i wytartej szacie, w jakiej ujrzały one blade oblicze słońca pewnego chłodnego jesiennego ranka 1865 roku. I któżby je kazał odświeżać? Lokatorowie tych domów nie mają czem płacić za estetykę, nie mają też pod tym względem zbyt wygórowanych wymagań, a właściciele tego rodzaju posiadłości niezwykli robić nakładów, do których nie bywają zmuszeni.

W szeregu starych i ciężkich budynków, ponurą i ciemną powierzchownością zwraca na siebie uwagę „*Przytułek ubogich,*“ dom wielki, prosty, kilkopiętrowy, bez różnych ozdób i sztukateryj, przypominający więzienie.

A przecież dom ten, to cel rozkosznych marzeń zziębniętych biedaków, dążących tutaj z zapadnięciem nocy. Obszerne sale na dole i pierwszem piętrze, ogrzane i oświetlone gazem, stanowią ciepłe i upragnione schronienie dla ubogiej żebraczej, lub wyrobniczej ludności. Tu mieszczą się t. zw. »ogólne sypialnie«, t. j. pokoje, w których każdy lokator ma prawo przenocować na garstce słomy, rzuconej na podłogę.

Szeregi podobnego rodzaju posłań, są umieszczone pod czterema ścianami i na środku obszernej izby, zapełniając ją w zupełności. O zmroku dozorca przytułku zapala gazowe płomyki i wkrótce pokój zapełnia się, przybywającymi co chwila pojedynczo lub po kilkoro, ludźmi różnego wieku, płci i stanowiska. Nikt tu nie zadaje pytań niedyskretnych, każdy spokojnie zajmuje kąt swój zwykły i w milczeniu rozkoszuje się ciepłą, choć z każdą chwilą cięższą i bardziej duszną atmosferą. Inni witają się i rozmawiają; inni — głodni może — szukają we śnie ucieczki i zapomnienia o smutnej rzeczywistości.

Byłoby zapewne ciekawem i pouczającem, stanąwszy nad posłaniem każdego z nich po kolei, uważniej spojrzeć w twarz tego członka najliczniejszego na ziemi »stowarzyszenia nędzarzy«, zbadać tajemnice i przeszłość tych ladzi, z pośród których, obok nieszczęścia i niedołęztwa, spotkać można często występek; nie stanowi to jednak obecnie celu naszej wycieczki do tej nieznanej i niedostępnej nawet ogółu krainy.

O godzinie 7. rano światło zostaje nakoniec zgaszone i izba opróżnia się zwolna na pół doby. Blade promienie jesiennego słońca z trudnością przedzierają się przez mgłę i dym, wiszący ciemną chmurą po nad miastem; w sali przytułku zmrok jeszcze panuje, pomimo iż okna otwarte pozwalają swobodnie przenikać do środka jasności dziennej, wraz ze świeżem powietrzem.

Światło, czy chłodny ożywczy prąd wiatru zbudził dzieci śpiące na jednej garstce słomy. Było ich troje, służyły sobie za wzajemne poduszki, otulając się łachmanami, w jakie były odziane. Poruszyły się zwolna, leniwie, niechętnie, otwierając i przemykając oczy; dzień nadchodzący nie obiecywał im nic przyjemnego.

W tej samej chwili na progu »Przytułku« stanęła wysoka, śniada, czarnowłosa i czarnooka kobieta lat pięćdziesięciu. Otuliła się chustką i patrzała uważnie zsuniętemi brwiami w wązką uliczkę, jak gdyby wyczekiwała na kogo. Jej twarz czerwona, obrzękła, zapadłe, lecz gorączkowo świecące się oczy i usta drgające nerwowym jakimś ruchem, sprawiały odrażające wrażenie. Wyczekiwała gniewnie, niecierpliwie, wychylając się co chwila na ulicę i szepcząc do siebie jakieś niozrozumiałe, urywkowe zdania.

Nagle cofnęła się szybko i rzuciwszy okiem w głąb izby, krzyknęła na dzieci, leżące jeszcze na słomie. Zerwały się na ostry dźwięk znanego głosu, potrącając wzajemnie i patrząc chciwie na ręce starej kobiety, jak gdyby się spodziewały ujrzeć w nich pożądany posiłek.

Jednocześnie wązką i brudną ulicą szedł zwolna i spokojnie czterdziestoletni, porządnie ubrany mężczyzna. Podobne zjawisko na ulicy Szpitalnej nie przytrafiało się często, mieszkańcy też jej ciekawie i podejrzliwie, kryjąc się i unikając spotkania, obserwowali je tylko z daleka. Nie ulega żadnej wątpliwości, że podobna wycieczka w godzinach wieczornych byłaby tutaj bardzo niebezpieczną, obecnie jednak ludność rozprószona, lękająca się światła dziennego, nie śmiała żadnym objawem okazać swoich instynktów i zapatrywań.

Gentleman szedł swobodnie, jak gdyby nie domyślał się wcale ścigających go spojrzeń niechętnych, nienawistnych i pożądliwych zarazem; zatrzymał się na progu »Przytułku«.

— Dzień dobry, matko — rzekł uprzejmie, pozdrawiając starą kobietę. — Jak widzę, przyszedłem zawcześnie. Chłopiec śpi jeszcze?

Stara przecząco potrząsnęła głową.

— Jest w izbie — odparła szybko zachrypniętym głosem.

— Więc go zawołaj; albo nie — sam pójdę go zobaczyć.

Stara wprowadziła nowoprzybyłego do zupełnie pustego obecnie pokoju, w którym troje niedawno zbudzonych dzieci sprzeczało się i swarzyło o jakiś drobny, na podłodze znaleziony przedmiot. Jedno z nich, najstarsze, dziewczynka, usiłowała gestem i wywową skłonić młodszego brata do ustęp-

stwa. Wszystko troje miało czarne, obcięte krótko, potargane włosy, czarne oczy i śniadą cerę. Najmłodszy chłopiec wyróżniał się oprócz tego niepospolitą brzydotą. Nie można było prawie bez niechęci patrzeć na jego żółtą i chudą twarzyczkę, osadzoną na cienkiej, żylastej szyi: nos płaski, małe, czarne, głęboko osadzone oczy, duże usta i niskie, lecz bardzo szerokie czoło tworzyły całość nieharmonijną i odstręczającą.

Na widok wchodzącego z babką gentlemana, dzieci umilkły nagle i stanęły przestraszone widokiem nieznajomego.

— Oto są, proszę pana, — odezwała się stara.

— Tak, widzę, poznaję, to ten chłopiec, którego od was kupiłem?

— Niech pan kupi wszystkie, mój dobry panie — zaczęła stara żałośnie. — Oto Salka, najstarsza, ma lat dwanaście, a rozum! nie znajdzie pan drugiej takiej w jej wieku. Patrzeć tylko, jak zacznie karetami jeździć. Podziękuje mi pan za nią za lat parę. A to mój Ryszard, chłopak, jak złoto, portret ojca. Kup pan wszystko troje.

— Nie — odparł gentleman stanowczo, — dla mnie wystarczy jedno, reszta klejnotów niech rośnie na twoją pociechę. A teraz przypomnij sobie umowę, przywiązana babko, i pamiętaj, że dotrzymać jej musisz. Chłopca zabieram z sobą — to mówiąc, położył rękę na ramieniu brzydkiego dzieciaka, — nie masz prawa iść za nim, śledzić mię, odwiedzać go, ani widywać. Jest moim i nigdy więcej w życiu nie będziesz go widziała. Za to obowiązuję się własnym kosztem wychować chłopca, a tobie płacę za niego 5 funtów = 5 złotych suwerenów.

— Tak, panie, a gdyby pan chciał wziąść wszystkie...

— Jak się nazywa?

— Sammy.

— Sammy? Nie chrzczony? A nazwisko?

— Ojciec jego nazywał się Stanley.

— Stanley, piękne imię. A gdzież jego ojciec?

— Któż to wiedzieć może, proszę pana! Zostawił to, jak nie swoje.

— A matka?

— Umarła niedawno w szpitalu, pozostawiając mi wszystko troje.

— Pyszny egzemplarz — szepnął nieznajomy z widocznem zadowoleniem, — długobym musiał szukać podobnego: babka pijaczka, ojciec cygan i włóczęga, a matka nic dobrego. Piękne dziedzictwo! Takiego mi właśnie potrzeba. Nikt nie zaprzeczy, że w warunkach, w jakich się obecnie znajduje, wyrósłby na łotra i złodzieja. Nikt nie zaprzeczy.

Kobieta słuchała uważnie, nie rozumiejąc jednak, ani słowa.

— Oto macie, matko, pieniądze, tylko — odsunął chciwie wyciągniętą rękę — czy pamiętacie warunki?

— Tak, panie.

Za chwilę mężczyzna i dziecko zniknęli za progiem.

— Salka! — zawołała kobieta z błyszczącym wzrokiem, chciwie ściskając w dłoni złotą monetę, — biegnij za nim natychmiast. Dowiedz się, gdzie mieszka, a niech cię nie spostrzeże. Nie wracaj, dopóki nie dowiesz się wszystkiego, bo...

Salka zniknęła już dawno. Na lat dwanaście była ona, istotnie, niepospolicie zręczną, roztropną i śmiałą. W znanej dzielnicy orientując się doskonale, zdaleka niepostrzeżona śledziła brata, gdy jednak znalazła się naraz wśród obcego, nieznanego miasta, oceniła natychmiast trudność swojego zadania. Na domiar jej kłopotu, uchodzący wsiedli do dorożki. Nie było wyboru, szybko i zręcznie jak kot umieściła się z tyłu za ekwipażem i uważnie rozglądając się w koło, licząc każdy skręt i kierunek drogi, przybyła nakoniec wraz z nimi na miejsce.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z moich wędrówek po świecie.

W Pradze.

Jeżeli tu wspomnienia z Pragi szanownym czytelnikom przedłożę, upraszam nie pomylić się i zamiast Pragi Czeskiej, o której tu mówić będę, nie sądzić, że to o naszej poczciwej Pradze pod Warszawą opowiedzieć zamyślam.

Zaledwie przyjechałem do Pragi, już dał mi się uczuć nienawistny dualizm między narodowością czeską i niemiecką, tam osiadłą. Rozdwojenie religijne od kilku wieków dotąd nie zatarte i nie było ministrów tak sprytnych, by rozłam ten złączyć potrafili...

Praga jest niby to stolicą muzyki. Złośliwe języki powiadają o szczególnej anegdotce, — że kiedy się rodzi jaki czech, wróżka mamka podaje dziecięciu pieniądz srebrny i skrzypce. Gdy niemowlę chwyci za skrzypce, będzie muzykiem, chwyci zaś pieniądz, będzie zręcznym złodziejem.

Czech po mieszkańcu Szwabji ma największą chęć do wędrówek i szuka chleba w obczyźnie, pracuje mozolnie i uciążliwie, by na starość kupić sobie kawał chleba w ojczyźnie.

Jest on, wprawdzie, w obcym kraju bardzo pracowitym, ale przy tem bardzo chytrym, sprzedajnym i da się użyć do wszelkich posług, nawet denuncjacyjnych, bądź to w wypadkach karnych, bądź politycznych.

Wiedeń nawet jest przepełniony tego tego rodzaju ludźmi i, aby dowieść, do jakiego stopnia odczuwają oni pogardę do pomiatających ich narodowości, niech posłuży za przykład mała opowieść:

„Pewnego razu, kapłan spowiadając nabożnego rzemieślnika zapytał go, czy już więcej grzechów nie pamięta. Wtedy on z swej naiwności wyznał: „Tak wielebny ojcze, nic już sobie przypomnieć nie mogę, chyba to, żem.. czech!"

„No moje dziecko, odrzekł ksiądz, nie jest to wcale grzechem, żeś ty czech, ale zawsze niełádnie z twojej strony.."

Wracam do rzeczy.

Praga ma znakomity teatr, subwencjonowany przez rząd. Tytuł teatru narodowego, tak ma czeski, jak i niemiecki.

Najpierw zaangażowany zostałem do niemieckiego i tak mi partja słowiańska dokuczała, żem po dwóch latach wyuczył się 8 oper po czesku i przeszedłem do teatru czeskiego. Trudny był dla mnie język czeski do nauki, ale ponieważ dla mnie nie było żadnej trudności w moim zawodzie, którejbym nie pokonał, więc też zawsze całą siłą brałem się do rzeczy.

Że zupełnie inne powodzenie miałem w teatrze narodowym czeskim, jest to, że „Proroka" 16 razy z rzędu śpiewać musiałem i nie tylko publiczność czeska z zapałem mnie przyjmowała, lecz niemcy mną zwabieni, teatr zwiedzać zaczęli, a kasa co wieczór o szóstej już zamkniętą była, gdyż wszystkie bilety rozsprzedano.

W Pradze spotkał mnie także ten zaszczyt, że na konsekracji arcy-księżniczki Krystyny austryjackiej, teraźniejszej królowej hiszpańskiej, na ksienię panien kanoniczek, na Hradczynie w kościele kawalerów Maltańskich, podczas wspaniałej ceremonji dworu, odśpiewać musiałem na chórze śpiew do Boga Rodzicy, z towarzyszeniem całej orkiestry konserwatorjum pragskiego pod dyrekcją pana Krejczi; aby nie ubliżać, ani niemcom, ani czechom, śpiewałem pieśń tę po polsku, odwołując się na to, że i część Polski jest pod berłem austryjackiem, więc z tego powodu i ja mam ku temu prawo.

Ogółem, gdy już śpiewając dwie, lub trzy opery po czesku w teatrze narodowym dobrze się zaklimatyzowałem, ośmieliłem się parę oper zaśpiewać po polsku, jako to: „Hugenotów", Żydówkę", a czesi nie tylko na to nie sarkali, lecz owszem kontenci byli z tego, że każde słowo śpiewu mego zrozumieć mogli, ku czemu zadawałem sobie wiele pracy. Pamiętam, że arję z Halki, którą śpiewałem na każdym koncercie dobroczynnym (a których bywało kilka do roku), wkradłem się w serca nadobnych niewiast czeskich i w szczególną przyjaźń sławnego kompozytora *Smetany*, najznakomitszego muzyka ówczesnego, który podobny nieszczęśliwemu *Beethovenowi*, jakby na urągowisko przeznaczenia zaniemógł na zupełną głuchotę. Położył on znakomite zasługi dla kraju i pisał jedynie w stylu pieśni narodowych na tradycjach opartych. Co do instrumentacji, porównują go z *Beethovenem i Mendelsohnem*, jednem słowem jest to, niby czeski *Moniuszko*.

Publiczność Pragi ma słuch wykwintny i lada czem nie da się zadowolić. Na polu tragedji i dramatu stoją na równi z nami, ale co do farsy i niższej komedji nie postąpili od lat 50. Dowcipy najwyuzdańsze, bez smaku, treść najbardziej pojedyńcza, ich już do wybuchu śmiechów porusza, skoro tylko opiera się na faktach miejscowych i zdarzeniach lokalnych.

Lubią śmiać się w teatrze na całe gardło, bez najmniejszej ceremonji. Mieli dawniej doskonałego komika ludowego, który się nazywał *Swoboda*. W jednem z przedstawień poobiednich, w którym to ludowi swemu najpotężniej dosadzał *Swoboda*, w loży pierwszego piętra siedziała otyła, bardzo zamożna rzeźniczka, którą tak w spazmy śmiechu wprowadził *Swoboda*, że ta w loży całym głosem zawołała: „Kusz Swoboda bo... bo.. już nie wytrzymam". Nie byłem ja przytem, ale tak opowiadają. Swoboda już umarł. Teraz miejsce jego zastępuje komik *Maszna*. Jestto również typ całkiem ludowy i niezmiernie ulubiony. Nietylko na scenie cieszy się powodzeniem, ale niema uczty familijnej, jako to: ślubu, chrzcin, zaręczyn, by się bez Moszny obeszło. Wszędzie go hojnie opłacają za dowcipki i przedstawienie typów ludowych, a on człowiek oszczędny, nieco Harpagon, ma teraz już bardzo znaczny majątek. Szczególniej go często na wieś zapraszają i jest to festyn dla poczciwych ziemian, gdy tam przybędzie. Raz mnie wziął z sobą, by mi z bliska okazać lud wiejski, jego zwyczaje, gościnność i patrjarchalność, a jedynie dla tego, by mnie przy uczcie poczęstować potrawą narodową: śliwkowe knedliki, które on setkami spożywał. Mając więc sposobność zejść się z tym ludem, wyznać muszę, że niezmiernie mi się podobał, gdyż odróżnia się bardzo od tych

miejskich jegomości, którzy tak chętnie na wędrówkę idą.

Lud ten trzyma się swej gleby, każdy umie czytać i pisać, nawet trzyma gazety. Nie politykuje wprawdzie, ale wie co się w świecie dzieje, jest *au fait* wszelkich instytucyj narodowych. Wiadomo, że jak tylko zakładano wielkie muzeum narodowe, a szczególniej ***narodni divadlo*** (teatr narodowy), nie było ofiary, którejby z chęcią oni nie podołali, aż złożono miliony i powstały gmachy tak wspaniałe, któreby nawet mogły zabłyszczeć w najpierwszych miastach Europy. Gmach teatralny w Pradzy, wybudowany jest w najspanialszym stylu, z komfortem, elegancją i olśniewającą maszynerją. Scena jest tak dużą, że działo sześciokonne wygodnie ewolucje wykonywać tam może.

Co niedziela i czwartki odbywaja się koncerta, na tak zwanej *„Zofinie“* (na wyspie św. Zofji), gdzie kilka orkiester grywa na przemianę. Najdostojniejsza publiczność odwiedza to miejsce, a damy odznaczają się elegancją swoich toalet. Czasem tylko pod wieczór zaciemnia się niebo spokoju, a to zależy od tego, jak powieje wiatr polityczny; wówczas przytrafiają się burdy między studentami czeskimi i niemieckimi. Lecz nie ma tam niebezpieczeństw; czasem jedna partja, a innym znów razem druga, z mocno spuchniętymi buziami wyspę opuścić musi. Powodzenie zależy od siły pięści, lub zamachu dobranego kija.

Teatrów ludowych czeskich znajduje się sześć po rozmaitych przedmieściach. W lecie grywają w tak zwanych arenach bez pokrycia, a gdy Jupiter Pluvius dokuczyć zechce, to widowisko kończy się pod parasolami. Piwo tam mają wyśmienite, w całem znaczeniu tego wyrazu, lepsze nawet od bawarskich, gdyż nie jest ono tak ciężkiem i z tego powodu piją go dużo, a nawet po kilka razy dziennie. Szczególny jeden gatunek piwa (kolorowego) ma taki odbyt, że żony mieszczan, zwyczajne antagonistki posiedzeń browarnych, mężom swoim nie tylko nie wzbraniają go używać, lecz przeciwnie skłaniają ich do tego i często do kieszeni zaoszczędzony guldenik wetkną gdyż brzmi pogłoska, że mężowie po połknięciu kilku kufli tego „nektaru“, stają się niezmiernie miłymi, uprzejmymi i nadskakującymi swym nadobnym żoneczkom. Dla mnie, Praga czeska była o tyle godną pamięci, żem śpiewał tam po kilka razy z p. p. ***Lucca, Trebelli, Mallinger*** w niemieckim, a z panną ***Chiomi i Sitta*** w czeskim teatrze.

Mieczysław Kamiński.

Teatr.

Zacznijmy po porządku — więc najprzód *Traviata* z pierwszym występem pani Camillowej. Co prawda, doczekamy się jeszcze, że popularna ta opera przerobiona zostanie na balet i wtedy dopiero pogra sobie na grubych nerwach spasionych i tępych umysłów. Ale co nam tam do *Traviaty*, jako opery — kto o niej mówi, a pisze się tylko wtedy, gdy nowa śpiewaczka odwokalizowała kameliową damę. Owóż, partja Viollety dla pani Camillowej okazała się dosyć wdzięczną, bo dała sposobność uwydatnienia zalet jej głosu, nie silnego wprawdzie, ale szlachetnego, dźwięcznego i o czystej emisji - zdaniem, jednak, naszem piękny głos pani C. ma cechy liryczne i w tym kierunku wyzyskiwany być powinien.

P. Warmut w Alfonsie nie był w swojej partji, ale jednak, niezwykłym swym tenorem robił wrażenie... także niezwykłe... Co do „osiwiałego ojca starego“, którym był p. Chodakowski, to, oczywiście, warszawski baryton pływał w tej partji, jak ryba w wodzie.

Reszta wszystko było dobrze — i tam, gdzie się piło, i tam, gdzie się grało, i tam, gdzie się umierało — a wszędzie te śliczne: ram-tam tam, ram-tam-tam.. Bardzo ładne...

Wesele w Waleni, taki jest tytuł dramatu, czy coś podobnego, osnutego na kornpcyjnych stosunków rumuńskich, a napisanego przez dwóch autorów z niemieckiemi nazwiskami nieznanemi w świecie literackim. — Sztukę tę przedstawiono na scenie skarbkowskiego teatru zaraz po świętach. Pod względem literackim rzecz to bardzo słaba, a sam pomysł zrobienia z cygańskiej dziewczyny aksamitnej pani, która się później w skutek zbiegu szczególnych okoliczności dostaje niewinnie do więzienia i jest sądzoną, jako morderczyni męża, a zabita przypadkiem z ręki cygana — dosyć zwietrzały i potrzebaby dużego talentu, aby taką bajkę ubrać w świeże i ponętne szaty. Sceny w 4. akcie w sądzie z prokuratorem i adwokatem, widocznie obliczone przez autorów na efekt, nużyły, brak im było artystyczności, a realizm dekoracyjny nie zatarł wrażenia wielkiej szopki. Właściwie trzy są tylko postacie dosyć wdzięczne dla gry aktorskiej, choć żadna z nich nie jest oryginalna, a wszystkie ulepione z różnych reminiscencyj.. — Te trzy postacie: cyganka, prokurator i młody, szlachetny syn zbankrutowanego bojara rumuńskiego, grą pani Stachowiczowej, p. Chmielińskiego i p. Zawadzkiego, istotnie, podniesione zostały, a pan Zawadzki pięknym patosem, energją i pełną polotu deklamacją, elektryzował słuchaczy — również, jak p. Chmieliński wyborną maską, modulowaniem cynizmu i całem pojęciem roli, pozyskał powszechny poklask dla swego pięknego talentu. Resztę ról, choć ich była gromada, dla artystów były banalne i nie ma co o nich pisać, wymienić tylko trzeba, że ważniejsze role grali: pani Kwiecińska, Gostyńska, Czechowicz, — oraz panowie: Feldman, Hierowski, Zboiński, Szobert i inni.

Wojewodę w *Mazepie* Słowackiego grał u nas po raz pierwszy pan Zawadzki. Piękny, dźwięczny, męski organ mowy, postać wyniosła i szlachetna, gra pełna ekspresji i grozy tragicznej — wszystko to złożyło się na postać wojewody, której odtworzenia panu Zawadzkiemu szczerze powinszować należy. Reszta obsady została po dawnemu.

Z powodu słabości panny Pawlikówny, śpiewała Rachelę w *Żydówce* pani Kasprowicz dnia 26. Grudnia i śpiewała ją tak dobrze, tak poprawnie, a w niektórych scenach z taką brawurą, że uzyskała powszechny i gorący poklask. W ramki oprawić, doprawdy taką utalentowaną śpiewaczkę — ale w ramki złote, wysadzane brylantami..

Nieboszczyk Toupinel, 3-aktowa krotochwila Brisson'a, w dosyć dobrym przekładzie grano u nas po raz pierwszy w zeszłym tygodniu. Jest to bardzo wesoła i dosyć dowcipna robota, szkoda tylko, że akt trzeci już zanadto grzeszy różnego rodzaju naciągniętemi kolizjami, co sprawia słuchaczom przesyt, bo, doprawdy, można się przesycić i tem, co daje powód do śmiechu. Farsa ta grana była u nas wybornie. Pierwszeństwo, oczywiście, należy się p. Fiszerowi w roli drugiego męża wdowy Toupinel. Pan Fiszer przepyszną grą od początku do końca utrzymywał publiczność w złotym humorze — dalej p. Feldman i p. Trapszo, potem p. Milewski i p. Dębicki, oraz panie: Pankiewicz, Czaplińska, Piasecka i Szymańska, każdy i każda w swej większej, lub mniejszej roli werwą i dobrą grą zapewnili stałe powodzenie i życie *Nieboszczykowi Toupinelowi*, który jest dziecięciem najlżejszej, najbardziej pustej i swawolnej scenicznej muzy francuzkiej.

Praktyczne i pouczające wiadomości.

Tuczenie kaczek. Najwłaściwsza pora korzystnego wytuczenia kaczek przypada na listopad, a daje się przeciągnąć do stycznia; później tuczą się trudno, mięso ich bywa twardsze i mniej smaczne.

Miejsce, w którem kaczki się tuczą, powinno posiadać ciepło umiarkowane i nie być bardzo przestronne. Utrzymywanie w niem czystości jest konieczne, należy często zamiatać, posypywać suchym piaskiem i przewietrzać. Nieźle też wpływa na prędsze wytuczenie, jeśli się kaczki zaraz na wstępie pod brzuchem podskubie. W zwyczajnie praktykowanem, ogólnie znanem tuczeniu, podaje się kaczkom pięć razy dziennie owies w takiej ilości, ile go spożyć mogą, a przytem i wodę do picia, albo też utłuczone, gotowane kartofle, obsypane grubo jakąkolwiek zbożową osypką. Ale sposób ten niezawsze daje pożądane rezultaty; najczęściej kaczki się tylko podtuczą, czyli poprawią, a tam, gdzie o to też tylko chodzi, nie potrzeba ich nawet wcale zamykać, ale w stałych godzinach, w jednem i tem samem miejscu kilka razy dziennie podawać im pokarm.

Prawdziwe wytuczenie kaczek otrzyma się w razie karmienia ich kluskami z jęczmiennej mąki z dodatkiem utartych, gotowanych kartofli. Kluski powinny być wielkości żołędzi; kilka razy dziennie napycha się je do gardzieli, albo ilekroć okażą się wypróżnione. Można także naprzemian z kluskami używać okrągłego grochu, namoczonego w słonej wodzie, lub tuczyć samym tylko grochem, napychając w gardziele podobnie, jak kluski. — W takim razie najlepiej od razu zamoczyć tyle grochu, ile potrzeba na dwa dni dla kaczek. Wody należy zawsze przy tuczeniu podawać dużo, mianowicie zaś, jeżeli się tuczy grochem. Kto chce, może za napój dawać i mleko, samo lub z wodą naprzemian.

Jeśli się zdarzy, co jednak przy ostrożności bywa bardzo rzadko, iż w czasie karmienia, a raczej napychania kaczka się udusi, można ją zużytkować, jak każdą inną, byle to spostrzedz dość wcześnie i wypuścić z niej krew, zanim zakrzepnie.

Tuczenie, odbywane w sposób wyżej podany, postępuje bardzo szybko, trwa bowiem najdłużej dwa tygodnie, a kaczki w tym czasie mogą swą wagę potroić w porównaniu z ciężkością przed rozpoczętem tuczeniem. Dłuższe tuczenie jest nawet całkiem zbyteczne, wagi, bowiem, mało już przybywa.

Odpowiedzi od Redakcji i Administracji.

Pan K. Kittel w Brooklyn (Ameryka). Prenumerata Pańska na „Gońca i Iskrę“ zapłacona jest do 1. Października 1891 r. „Klejnoty“, jako premium wysłaliśmy.

Wbny ks. Pacholski. Minneapulis (Ameryka). Do 31. grudnia 1890 r. zapłacona jest prenumerata — o dalszą prosimy.

Wbny ks. Litwora w Bremond (Ameryka). Dwa nadesłane dollary pokrywają prenumeratę do 31. grudnia 1890 r. — o dalszą prosimy.

Pan Osuch w Chicago (Ameryka). Trzy dollary otrzymaliśmy.

Pan Marcinkowski w Chicago (Ameryka). Rachunek w oddzielnym liście objaśniliśmy — prosimy o uzupełnienie.

Pan Franciszek Stodulski w Starym Sączu. Wiersze nadesłane drukowane nie będą. Lepiej dać pokój takim rzeczom.

Tylko vis-a-vis kościoła „Św. Anny".

BIURO

„Pierwszorzędnych kopalń węgla kamiennego i koksu" we Lwowie

sprzedaje

najlepszy **Węgiel kamienny** z kopalń **górno szlązkich i krajowych** tak **całymi wagonami** dla wszelkich fabryk, gorzelń, cegielń, browarów, młynów parowych i t. p. jakoteż **w mniejszych ilościach** do opalania pieców

po cenie 65 i 75 ct. za 50 klg.

z dostawą do domu.

Zamówienia, także telefoniczne i listowne uskutecznia się sumiennie i bezzwłocznie. (5257-4-1)

Dla dogodności Sz. P. T. Publiczności przyjmuje również zamówienia

Handel Wgo Jana Ważnego

ul. Czarneckiego l. 2. Nr. telefonu 197.

BIURO

pierwszorzędnych kopalń węgla kamiennego i koksu

H. Dattnera

ul. Grodecka l. 3 a. I. piętro telefon Nr. 390.

Główny skład na dworcu kolei Karola Ludwika i przy ul. Grodeckiej l. 3 a. telefon Nr. 390.

Tylko vis-a-vis kościoła „Św. Anny".

ANTONI ROZMANIT

KRAKOW.

Fabryka parowa Cykorji, Surogatów kawy i kawy figowej

w Rakowicach pod Krakowem

Wyrabia z produktu surowego własnej plantacji wszelkie gatunki Cykorji i sztucznej Kawy, odznaczające się bogactwem części pożywnych, tudzież doskonałym smakiem i zapachem.

Fabryka poleca przedewszystkiem:

Surogat Kawy w pudełkach (szufladkach).
Surogat Kawy w szklankach.
Kawę śrutową francuską Rozmanita.
Cykorję krakowską gorzką.
Kawę figową.
Cykorjową Kawę perłową.
Kawę krakowską w skrzyneczkach wyborową. 5060 st. —13

Zalecając wyroby mojej fabryki, przewyższające zaletami wszelkie tego rodzaju produkta zagraniczne, żywię niepłonną nadzieję, że Panie Gospodynie nasze, które otaczają zawsze i wszędzie swem życzliwem poparciem przemysł krajowy, zechcą i tu być pomocnemi w popieraniu i rozpowszechnianiu wytworów moich.

Do nabycia we wszystkich handlach.

4000

ztuk różnej garderoby nowej i używanej, męskiej i damskiej, resztki sukna meble i wszelkie ruchomości tanio nabyć można w Zakładzie

Jaszczyszyna,

Gmach teatralny we Lwowie. (5213-6-3.)

Galicyjski Bank kredytowy

począwszy od 1. lutego 1890 roku wydaje

4% Asygnaty kasowe

z 30-dniowem wypowiedzeniem i

3½% Asygnaty kasowe

z 8-dniowem wypowiedzeniem.

Wszystkie zaś znajdujące się w obiegu **4½% Asygnaty kasowe** z 90-dniowem wypowiedzeniem oprocentowane będą **począwszy od d. l. maja 1890. po 4%** z 30-dniowym terminem wypowiedzenia.

Lwów dnia 31. stycznia 1890.

4968—st. **Dyrekcja.**

(Przedruk nie będzie opłacony).

Fabryka

wyrobów betonowych

W. Janouch i Hawliczek

w Przemyślu

ulica Lwowska l. 509.

Wyrabia: Płyty posadzkowe w różnych kolorach — zwyczajne i marmurowe, szlifowane, podestowe, do pokrycia kominów, murów szczytowych, parkanów i filarów murowanych, parapetów i skrzydeł mostowych. Schody pełne i dęte i do obmurowania. Płaszcze do rynien spustowych i muszle podrynne. Rynny i rury kloaczne, kanałowe i dreny. Kamienie kilometrowe, hektometrowe, mostowe i graniczne dla dróg żelaznych i krajowych. Kamienie do magli i grobowe i t. d. Przyjmuje budowy kanałów, dołów grobowych, kloacznych i wszelkich robót w zakres fabryki betonowej wchodzących.

Do wyrobów moich używam nowej przezemnie zastosowanej mięszaniny do cementu, podwajającej dotychczasowo znaną jego wytrzymałość.

Wykonuje wszelkie projekta niwelacyjne.

(5162-8-6)

I. wiedeński skład kapeluszy.



Niniejszem mam zaszczyt zawiadomić P. T. Publiczność, że z dniem

1. listopada 1890

otworzyłem

wielki skład kapeluszy cywilnych

oraz własną

PRACOWNIĘ CZAPEK

wojskowych i cywilnych

przy ulicy Mickiewicza l. 269

naprzeciw c. i k. Intendantury

w Przemyślu.

Mając nadzieję, że P. T. Publiczność i P. P. Wojskowi zechcą mnie łaskawie zaszczycić swymi względami, kreślę się z wysokiem poważaniem

(5217-8-3) **Tomasz Sapàk.**

LOUVRE

w Krakowie, Sukiennice 16.

Nadeszły nowości z Paryża

na sezon jesienny i zimowy.

Kapelusze damskie, okrycia, żakiety szlafroczki damskie, zarzutki balowe-przody. kamizelki damskie, jersey, fichus, kokardy, naszyjniki, kwiaty balowe, pióra strusie i fantazyjne, gorsety paryzkie, wachlarze od najtańszych do najdroższych, parasole męzkie i damskie, dżety do głowy.

Najbogatsza perfumerja francuska i angielska. Wody kolońskie oryginalne, francuskie i angielskie, pudry, wody toaletowe. Przyjmują się obstalunki na suknie i kostjumy z Paryża. Wysyłka na prowincję. Katalogi gratis.

5256—12—2.

Ogłoszenie.

Mamy zaszczyt niniejszem zawiadomić, iż nasza

Odlewarnia żelaza i metali

w Podgórzu

wykonywa wszystkie odlewy w zakres **handlowy, budowlany i maszynowy** wchodzące i możemy wskutek racjonalnego i postępowego urządzenia takowe *w jak najkrótszym czasie i po najniższych cenach* uskuteczniać.

Wszelkie zamówienia upraszamy nadsyłać do naszego biura pod adresem: 4944-24-1.

Bracia Kamsler

w Krakowie

ulica św. Gertrudy, liczba 19.

Koncessjonowany

Handel papieru

X. Józefa Bednarza

we Lwowie ul. Leona Sapiehy l. 27.

Papier, lak, atrament, pióra, ołówki, rysiki, rączki do piór, gąbki, notesy, kałamarze, zeszyty szkolne, przybory rysunkowe, mydełka, papier listowy, nutowy, kolorowy, koperty, powinszowania, atrament czerwony, złoty, zielony, niebieski; odbijanki, bloki, torby szkolne, piórniki, tytonierki, szpilki, kartony, bilety wizytowe, farby, pendzle, papierki do cygar, tektury, linje, bibuły, kredki, perfumy, gumy arabskie, radyrki, kontomierze, tabliczki, monogramy na listy, maszynki do tutek, piasek kolorowy, kredki, reisceigi reiszyny, szpanegle, trójkąty, wyciągacze bibulaste, kalki, pióra gęsie; **tutki cygaretowe 100 sztuk 8 ct.**

Wszystko w różnych i najlepszych gatunkach.

Obrazki święte, koronki, szkaplerze, różańce, medaliki, statuetki, figurki Wszystkich Świętych, obrazki w ramkach, ramy do obrazów.

Przyjmuje zamówienia na druki kościelne wszelakiego gatunku, metryk itd. tudzież książki do modlenia, lichtarze, kielichy, puszki, monstrancje.

Poleca się względom Przewielebnego Duchowieństwa, oraz łaskawej Publiczności 5197—6—3.

X. Bednarz

Lwów, ul. Leona Sapiehy 27.

Restauracja

Filipa Weisa

przy placu Chorążczyzny

(naprzeciw łaźni Duchcńskiego)

we Lwowie,

urządzona z komfortem, zaopatrzona w dzienniki, posiada bilard najnowszej konstrukcji, kuchnie zdrową i smaczną, wszelkie napoje, oraz różnorodne piwa butelkowe, na które przyjmuje zamówienia i odsełą do domu. Ceny umiarkowane, usługa szybka i rzetelna. (5209—4—1.)

Dr. Konstanty Lewicki

otworzył kancelarję adwokacka

we Lwowie, przy ulicy Korniaktów liczba 1, II. piętro (Dom Narodny).

(5201-6-3).

3% Losy austryjackiego Zakładu kredytowego ziemskiego

sześć (6) ciągnień rocznie

główna wygrana:

50.000 złr. a. w.

4% Losy węgierskiego Banku hipotecznego

trzy (3) ciągnienia rocznie

główna wygrana:

50.000 złr. a. w.,

jakoteż wszelkie losy Czerwonego Krzyża i serbskie 10 frankowe sprzedaje najtaniej

Sokal i Lilien

dom bankowy i kantor wymiany.

Zlecenia z prowincji wykonujemy bezzwłocznie niedoliczając prowizji, a na żądanie zaliczkę. (4792-st.)

Odbywszy specjalne studja w krajowych i zagranicznych instytutach naukowych, otworzyłem we Lwowie przy ulicy Jagielońskiej l. 18.

27-krotnie premiwana!

Fabryka parowa

pierników, sucharków i ciast

L. Czyńskiego

w Jarosławiu

poleca: pierniki na sztuki od 1 ct. do 5 ct. pierniki w eleganckich paczkach od 5 ct., do 1 zł. pierniki królewskie po 20 ct., 1.30, i 2.—, pierniki arcyksiążęce (Rudolfi) w eleganc. paczkach po 50 ct Sucharki w kilku gatunkach Biskwity na sposób angielski wyrabiane, Alberty, Graham, Ducen i t. p. Ciastka w rozlicznych gatunkach do kawy, herbaty i na deser. Biszkopty bardzo przednie. Biszkopty nadziewane. Figurki piernikowe ładnie ubierane po 2, 3, 4, 6, 7, 8, i 15 ct „Mikołajki" po 4, 15, 25, i 50 ct. Abecadło kompletne z ciastek (od A do Z) w pudełu 40 ct. Bałabuszki dla grzecznych dzieci (kilkanaście) gatunków smacznych ciastek), w eleganckich pudełkach po 1.30 Obwarzanki w buntach 25 sztuk za 10 ct.

Do nabycia, w sklepach własnych **Lwów** Halicka 8. **Kraków** Sukiennice 23 **Praga** Graben 14 **Budapeszt** Wienergasse 3. **Przemyśl** ul. Franciszkańska, oraz we wszystkich większych handlach korzennych, gdzie jest odnośny plakat wywieszony. 5210—6—3).

Mam zaszczyt zawiadomić Szanowną Publiczność, iż otworzyłem

Skład towarów bławatnych,

jedwabnych i sukiennych,

oraz różnych

Płócien krajowych i zagranicznych,

Dywanów, Kap,

Koce i Bielizny stołowej,

w Sanoku

w domu p. Langsama. obok głównej trafiki.

Mam niepłonną nadzieję, iż zaufanie Szanownej Publiczności zaskarbić sobie zdołam, tak pod względem gust, trwałości materji po cenie najumiarkowańszej, jako też i rzetelną obsługą, w tej nadziei polecam się łaskawej pamięci Szanownej Publiczności.

(5240-6-2) Z poważaniem

M. Malawer.

Restauracja w Hotelu Drezdeńskim

w Krakowie

Stanisława Majewskiego

należy do **najlepszych i najzdrowszych** restauracyj, a przytem ceny są **umiarkowane**, doskonała usługa, czystość wzorowa i bardzo ładny lokal. (5235—4 3)

Odpowiedzialny za Redakcję i Wydawnictwo: Fr. Ks. Kowaliszyn.
Z drukarni W. A. Szyjkowskiego ul. Kopernika l. 5. Telefon 117
Illustracje odbite w litografji A. Przyszlaka we Lwowie. ulica Kopernika l. 9.

1891. Lwów. Ogólnego Wydawnictwa Rok XIV.

Dodatek Noworoczny do „Gońca i Iskry."

W Nowy Rok.



— Boże! Boże! jak mi się nudzi i to jeszcze w Nowy Rok... Zły znak!..
— Myślisz, że w tym roku nie pójdziemy za mąż?..
— Ależ, moja kochana — mąż, to najnudniejsza rzecz w świecie — jabym odrazu chciała być rozwódką...

SAŁATA PARYSKA.

(RYSUNKI JÉZIER'A.)



— Nie mama, ja już nie pójdę więcej do ogrodu z pokojową, bo nas zanadto oczkują...



— Mój kochany, daj mi luidora — nie chcę, abyś się fatygował szukaniem drobnych dla garderoby...



— Zdawało mi się, że właściciel domu zabrał ci meble...
— Tak, ale ja posłałam do niego i kupił mi inne...



— Niech ci to służy za przykład! Narzeczony Julki odszedł ją od ołtarza...
— Nie bój się — znajdzie się taki, co chętnie ją zaprowadzi gdzieindziej, bo mężczyźni pasjami lubią skompromitowane kobiety...

Na ślizgawce.



— Komiczny wypadek — doprawdy. . .
— Także ładnie, śmiać się z cudzego nieszczęścia. . .
— A z czegoż się będę śmiał, może jak sam się przewrócę — co? . .



– Spłukałem się w twoim kantorze – masz przynajmniej pamiątkę i płucz sobie także gębę!..

Na ulicy.



– Pożycz no mi szóstkę – oddam ci zaraz...

– No, to daj – a ja ci oddam jutro

W salonie.



— Od godziny nadskakujesz mi baronie, a nie powiedziałeś mi, ani jednego słowa, jak mnie też znajdujesz...
— Hrabino, przedtem, zanim się powie pięknej kobiecie, jak się znajduje, trzeba ją dobrze poszukać...

Także prośba.



— Mój drogi, błagam cię o to: staraj się być mniej brzydkim... Twój nos np. formalnie mnie kompromituje...

Zapomina się...



— Niestety, moja droga, mój mąż tak się zapomina teraz, że zamiast w rękę kilka razy pocałował mnie w czoło...

Co woli?..



— Jakto? nie mówicie już sobie „ty" z Alfonsem?.
— Nie — wolę „tykać" jego żonę...

Odpowiedzialny za Redakcję i Wydawnictwo Fr. Ks. Kowaliszyn. Odbito w Litografii A. Przyszlaka. Lwów.